



GŁOS UCZNIĄ

NIEREGULARNIK UCZNIOWSKI

*O globalizacji, warsztatach
i kanapkach...*

o wywiad z Łukaszem Lipińskim

Co sądzę o „naszej klasie”?

*O pasji, której oddało się
wielu*

o wywiad z tancerzem Markiem Kisielcem

Dzieciństwo jakiego nie znacie

o wywiad z Sybiraczką Janiną Góralczyk

Wspomnienia...

Drodzy Czytelnicy!

„Wstępniak” do gazety pisany jest zazwyczaj po zakończeniu pracy zespołu redakcyjnego. Mając przed oczyma gotowe artykuły, redaktor naczelny siada wygodnie i tworzy słowo wstępne. Tym razem zaszczyt napisania pierwszego tekstu przypadł byłej redaktor naczelnej – mnie.

Serdeczne podziękowania i gratulacje kieruję do młodszych kolegów, którym udało się dzięki ciężkiej pracy stworzyć ten właśnie numer *Głosu Ucznia*. Chcąc odnieść się do aktualnych spraw szkolnych, muszę stwierdzić, że dla maturzystów nadszedł czas przygotowań do egzaminów, intensywnej nauki. Napiętą sytuację rozładowuje nadchodząca wiosna, której wszyscy wyczekujemy. Relaksacyjnie i kształcąco może wpłynąć na nas lektura naszej gazety, i do niej szczerze zachęcam.

Milena Mocarska

Pierwszy numer *Głosu Ucznia* jest inny niż poprzednie. Pytacie czemu? Zmieniła się redakcja naszego pisma. Mamy nadzieję, że nam, tak jak i naszym poprzednikom, uda się trafić w Wasz gust. Kierując się opiniami na temat naszej gazetki postanowiliśmy ubogacić ją wywiadami z różnymi ludźmi na zupełnie różne tematy.

Życzymy miłej lektury!

Nowa Redakcja *Głosu Ucznia*

P.S. DzięX ZA złOtóWkĘ! *

*nie mówcie p. prof.

Spis treści

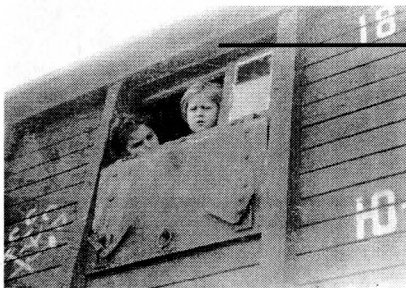
- 2 **Słowo wstępne**
- 4 **O globalizacji, warsztatach i kanapkach...- wywiad z Łukaszem Lipińskim**
- 6 **Co sądzę o „naszej klasie”?**
- 8 **O pasji, której oddało się wielu- wywiad z Markiem Kisiel**
- 10 **Czy boimy się matury?**
- 11 **Kto się nie przewróci, ten się nie nauczy- relacja ze szkoły zimowej**
- 14 **Dzieciństwo jakiego nie znacie- wywiad z Sybiraczką Janiną Góralczyk**
- 19 **Wspomnienia...**
- 23 **Humor według Henryka Sawki**



O pasji, której oddało się wielu...



Kto się nie przewróci...



Dzieciństwo jakiego nie znacie



Wspomnienia

O globalizacji, warsztatach i kanapkach...

z Łukaszem Lipińskim rozmawiała

Karolina Góralczyk

W grudniu uczniowie klas pierwszych i drugich uczestniczyli w lekcjach na temat globalizacji. Były to zajęcia niezwykle, ponieważ zostały poprowadzone przez naszych starszych kolegów z klasy III d.

Lekcję rozpoczęliśmy od zdefiniowania pojęcia zależności i współzależności między ludźmi. Motywowani do współpracy przez prowadzących, podawaliśmy liczne przykłady i oddawaliśmy się dyskusji. Kolejnym punktem zajęć był quiz. Nasza klasa została podzielona na dwie drużyny, wszyscy odpowiadaliśmy na pytania, które doprowadziły nas do stwierdzenia, że świat jest globalną wioską. W ramach podsumowania, wspólnymi siłami podjęliśmy się zdefiniowania pojęcia globalizacja. Wcześniej nasi starsi koledzy, Justyna Gromadzka, Łukasz Lipiński i Marta Stachowska (prowadzący zajęcia w naszej szkole) wzięli udział w projekcie *Patrz i zmieniaj* organizowanym przez Centrum Edukacji Europejskiej (CEO). Celem tego programu jest kształtowanie wśród nas - młodych ludzi postawy odpowiedzialności za kształt dzisiejszego świata i zachęcanie nas do osobistego zaangażowania na rzecz jego zmiany. O całym przedsięwzięciu specjalnie dla naszej gazetki opowiada Łukasz Lipiński.

Głos Ucznia: Łukaszu, wiemy, że przed lekcjami, jakie prowadziliście z nami w szkole, mieliście przyjemność uczestniczyć w specjalnych zajęciach. Spróbuj opowiedzieć nam, jaką miały formę i gdzie się odbywały?

Łukasz Lipiński: Na początku byliśmy w Warszawie na pięciogodzinnym szkoleniu organizowanym przez CEO, które miało formę warsztatów. Pracowaliśmy w grupach, poznawaliśmy projekty, które w różnych szkołach

w Polsce zostały już zrealizowane w ramach programu *Patrz i zmieniaj* i na koniec tworzyliśmy propozycję własnego projektu, jaki można byłoby zrealizować w celu popularyzowania zdobytej w czasie warsztatów wiedzy.

G.U.: Co najbardziej podobało Ci się w warsztatach?

Ł.L.: Najbardziej podobała mi się duża pasja prowadzących warsztaty - 2 młodych chłopaków, chyba studentów, którzy z wielkim zaangażowaniem, prostymi słowami przekazali nam багаж wiedzy i doświadczeń na temat globalnych współzależności i tego, co osobście może zrobić człowiek, aby w globalnej wiosce żyło się lepiej. Ciekawa była również forma przekazu zachęcająca do aktywności, stwarzająca przestrzeń na uruchomienie kreatywności. Wszystko z bogatym wachlarzem sposobów dzielenia się pomysłami: ustnie, rysunek, skojarzenie, projekt, debata. Niesamowity klimat stwarzała tam oczywiście młodzież, pozostali uczestnicy, zwłaszcza dwie osoby: Mela i Paweł, ludzie bardzo aktywni, uśmiechnięci, świadomi skali problemów wynikających z egoistycznej interpretacji globalnych współzależności lub w ogóle braku świadomości tematu. Bardzo podobała mi się również ta możliwość stworzenia własnego projektu, dzięki temu dostrzegłem, że na prawdę można działać, zrobić coś społecznie, a całe zajęcia nie są cczą paplaniną. Ponadto pod-

czas zajęć były przerwy, a podczas nich jedliśmy pyszne kanapki.

G.U.: Czy waszym obowiązkiem było poprowadzenie po powrocie zajęć w klasach? I czy sami wymyśliliście formę quizu, która wywołała dużo emocji wśród nas- uczestników?

Ł.L.: Odpowiadając pozytywnie na zaproszenie p. Dudo i p. Pietruszewskiej do wzięcia udziału w warsztatach, mieliśmy od razu w perspektywie przeprowadzenie w szkole zajęć na ten temat. Nie był to dla nas obowiązek, ja powiedziałbym tu o tym, co zrobiliśmy ze zdobytą wiedzą i nabytym, niedużym, ale wciąż doświadczeniem. Otóż po warsztatach pozostawała kwestia doboru tematu zajęć, jakie moglibyśmy przeprowadzić w klasach I i II liceum (bez maturalnych, bo absolwenci opuszczają szkołę, a młodszy mogą projekt kontynuować po nas). Zapadła decyzja o przeprowadzeniu zajęć wprowadzających w istotę projektu, opisujących ideę *Patrz i zmieniaj*. Taką decyzję podjęli nauczyciele. Pani Dudo otrzymała na warsztatach dla nauczycieli materiały, które nam przekazała, z prośbą o przeprowadzenie zajęć od młodych dla młodych. Formę quizu, wymyśliliśmy sami - spontanicznie, podczas pierwszych zajęć, aby zachęcić do aktywnego odpowiadania na pytania elementem współzawodnictwa w biegu ku wspólnej mecie.

G.U.: Czy w przyszłości będziemy mogli jeszcze uczestniczyć w lekcjach prowadzonych przez starszych kolegów?

Ł.L.: Jeżeli chodzi o przyszłość, to planowana jest projekcja filmów. Będzie to już część programu *Patrz i zmieniaj* ukazująca konkrety, prawdziwe życie ludzi. My, patrząc na ich historie, będziemy mogli z nimi współodczuwać: może jakiś smutek, może jakąś radość. Poszukując analogii w naszym otoczeniu, będziemy mogli, używając naszych umysłów, ale też pewnie serc, zrobić coś na własnym podwórku.

Jeżeli chodzi o starszych kolegów, to my już nie planujemy kolejnych zajęć, oprócz projekcji filmów, które będą koordynować nauczyciele, ale możliwe, że młodszy dziś, a starsi za rok przejmą pałeczkę i wtedy zobaczycie coś nowego.

G.U.: Na koniec jeszcze takie pytanie, czy byliście zadowoleni z aktywności uczniów na zajęciach w szkole?

Ł.L.: Tak, byliśmy zadowoleni z aktywności klas. Było bardzo przejrzyste widać różnice w profilach. Jak? Przez poprawność

odpowiedzi na dane pytania: np. geograficznie, gospodarczo-

- przodowały klasy społeczno- ekonomiczne i matematyczno- fizyczne, informatycznie najlepiej sprawdziły się ponownie mat.- fiz., sprawy biologiczne były specjalnością biologiczno- chemicznych, filozoficznie i z wycuciem sytuacji ludzi, planety - klasy ogólne i humanistyczne.

G.U.: Dziękuję bardzo. Teraz nie pozostaje nam już nic, tylko czekać na projekcję filmów.

Karolina Góralczyk, kl. I E

CO SĄDZĘ O „NASZEJ KLASIE”?

O portalu społecznościowym „Nasza klasa” krążą różne opinie. Ja osobiście jestem jego zwolenniczką.

Dzięki tej stronie odnalazłam znajomych, z którymi straciłam kontakt, ponieważ wiele lat temu wyjechali za granicę lub przenieśli się do innego miasta. Mogę także zobaczyć zdjęcia osób, których bardzo długo nie widziałam i nawiązać z nimi kontakt. Mojej „starej” klasie udało się zorganizować spo-



tkanie klasowe – popularność tego portalu jest tak duża, że bez problemu się umówiliśmy i powiadomiliśmy także innych zainteresowanych, którzy nie

brali udziału w naszej dyskusji. Bardzo często korzystam z forum mojej obecnej klasy. Zapewnia ono szybką wymianę informacji grupie osób zainteresowanych: dzięki niemu jestem na bieżąco poinformowana o zmianach w planie, łatwo

mogę skonsultować pracę domową, dowiedzieć się o składkach. Ostatnio coraz więcej osób umieszcza

fotografie swoich prac, np. zdjęcia szkiców, własnoręcznie malowanych paznokci. Dzięki nim wiem o zainteresowaniach moich znajomych, mogę podziwiać ich talent i śledzić, jak się rozwijają. Nie zawsze pamiętam o urodzinach dalszych kolegów i koleżanek. Dzięki „Naszej klasie” wiem, kto jest jubilatem i mogę złożyć mu życzenia.

„Nasza klasa” ma także wady. Ostatnio pomysłodawcy tej strony wymyślają różne „atrakcje” dla użytkowników portalu. Nie wszystkie jednak okazują się strzałem w 10. Moim zdaniem „śledzik” to najlepszy przykład „przedobrzenia”. Nie podoba mi się także reklamowanie na stronie aukcji użytkowników portalu. Często sami inter-

nauci odejmują tej stronie uroku – dodają nie zawsze cenzuralne zdjęcia, ujawniają za dużo szczegółów swojego życia osobistego. Wydaje mi się, że mijają się to z ideą tej strony, która wydaje się coraz to zmieniać swoje przeznaczenie.

Mam jednak nadzieję, że administratorzy zwrócą uwagę na skargi użytkowników portalu, wprowadzą korzystne zmiany i powrócą do starej „naszej klasy”. Sam pomysł idei stworzenia tej strony bardzo mi się podoba.

Justyna Jakacka, kl. III C

Nasza-klasa.pl czyli portal dla ludzi z klasą.

Czyżby? Początkowo strona cieszyła się ogromnym entuzjazmem użytkowników. „Nareszcie jakiś portal, który pozwoli odnaleźć starych znajomych” – mówiono. Dzięki niemu odbyło się zapewne wiele spotkań ze znajomymi, z którymi utracono kontakt. Wielu z nas odnalazło swoje stare miłości, przyjaźnie.

Należy jednak zauważyć, jakich informacji o wielu ludziach dostarcza wspomniany portal na przykład policji. Doskonałym przykładem są często umieszczane w galeriach zdjęcia z imprez nastolatków; często są pijani, z papierosami w ręku. Ich dane podane są jak na tacy, sami prowokują problemy.

Coraz bardziej zaczyna śmieszyć mnie także fakt umieszczania na naszej-klasie zdjęć z całego swego życia z podpisami: „Tu ja z mamą.”, „Z tatą.”, „Tu ja sam(a)” oraz setne zdjęcie zatytułowane: „A to mój pies”.

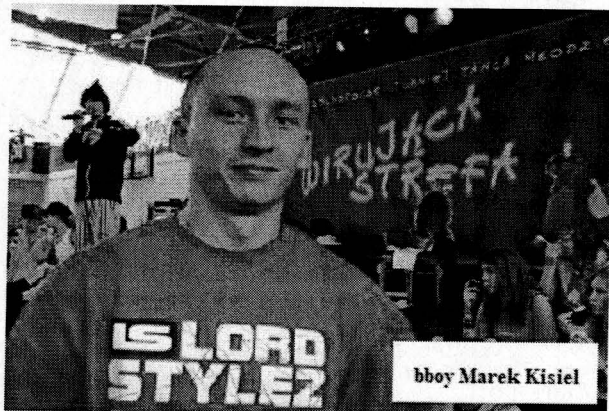
Zabawne są również foldery typu „Impreza” tworzone po to, by pokazać wszystkim naokoło jaka to dana osoba jest rozrywkowa. Podobnie ogromne ilości zdjęć w stylu „By myself” zasługują na brawa.

Irytujące stało się ocenianie wyglądu innych użytkowników, biorąc pod uwagę fakt, że ja osobiście ceniłam ten portal właśnie za brak tego typu elementów. Nasza-klasa.pl cieszy się obecnie szeroko rozchodzącą się komercją, gdzie ludzie ścigają się w ilości znajomych i zapraszają każdego, by stać się pseudo popularnym. A zapowiadało się tak optymistycznie...



O pasji, której oddało się wielu.

Taniec określa się często mianem najpiękniejszej ze wszystkich sztuk; jest jak lustro, które pozwala zobaczyć i odkryć naszą duszę, a także pomaga rozładować emocje. Najważniejsze jest jednak to, że daje radość i energię oraz pomaga zrozumieć otaczający nas świat.



Głos Ucznia: Jak i kiedy zaczęła się Pana przygoda z tańcem?

Marek Kisiel: Moja przygoda zaczęła się już bardzo, bardzo dawno temu, około dwudziestu lat wstecz. Gdy zobaczyłem pierwszy teledysk Mc Hammera, zachwyciłem się tancerzami, którzy w nim występowali. No i od razu chciałem tańczyć. Zaczęłem podpatrywać jakieś kroki, ale to było takie... hmm... bardzo amatorskie. Kilka lat później, będąc starszym, mogłem już to gdzieś pokazywać. Generalnie taniec stał się trochę bardziej popularny. Potem pojawił się Dr. Alban ze swoim teledyskiem „It's my life”, co także mnie zainspirowało. Okazało się, że jest też kilku tancerzy w Łomży i zaczęliśmy sobie tańczyć po dyskotekach szkolnych, lansując się :) A już bardzo profesjonalnie zająłem się tym pod koniec 1996 roku, kiedy pierwszy raz pojechałem na turniej tańca „Rytm Ulicy”, wtedy jeszcze do Gniezna. I tam zobaczyłem prawdziwych bboy'ów, tancerzy.

GU: Co robi Pan, żeby wciąż rozwijać swoje umiejętności?

MK: Przede wszystkim trenuję, ćwiczę, doszkalam się wszędzie, gdzie tylko można. Po całej Polsce jeżdżę na warsztaty - nie tylko z bboy'ingu ale i z house'a, hip-hopu, lockingu. Staram się rozwijać cały czas, brnąć do przodu, żeby tę wiedzę, którą sam będę posiadał, przekazać wszystkim dookoła: tym, których uczę i trenuję.

Pan Marek Kisiel to wszechstronnie utalentowany instruktor tańca, prowadzący zajęcia w Miejskim Domu Kultury w Łomży przy ulicy Wojska Polskiego 3. Jest założycielem i członkiem Crazy Twisting Group, która w 2005 r. zdobyła tytuł mistrza świata w breakdancie. Jest to wspaniały tancerz, który poprzez swój charakter i charyzmę rozpala pasję w innych.

GU: Miał Pan zapewne wiele kontuzji. Nie zrażają Pana? Nie wzbudzają niechęci do tańca?

MK: Wcale nie miałem wielu kontuzji. Zdarzyło mi się mieć 2 razy nogę skręconą w stawie skokowym, ale za pierwszym razem to nie była wina tańca, potem kontuzję spowodowało złe podłóżę na turnieju. Kiedyś miałem złamaną nogę- piątą kość śródstopia, ale to też nic takiego. Obecnie kontuzji jako takich nie mam oprócz tej, która ciągnie się za mną już kilka ładnych lat. Wszystko dlatego, że dawniej nie wiedziałem wiele na temat rozciągania, rozgrzewek. Ale już jestem na dobrej drodze - prawie wyleczony. Jest OK.

GU: Jakie są Pana najważniejsze osiągnięcia w tańcu?

MK: Powtarzam to wszystkim, wszędzie dookoła. Najważniejszym moim osiągnięciem jest to, że tańczę w ogóle, że mogę przekazywać swoją wiedzę innym. Wiadomo, są sukcesy mniejsze i większe, ale chyba najważniejsze dla mnie jest to, że tak długo tańczę, przekazuję umiejętność dalej. Można jeszcze powiedzieć, że spełniłem swoje marzenia dzięki tańcowi. Zawsze marzyłem o tym, żeby uczyć dzieciaki i mieć swoją grupę w naszym mieście. Kiedyś było nas dwóch, trzech, nie było wielu chętnych, lecz teraz jest bardzo dużo osób zafascynowanych tańcem i moje marzenia się spełniają.



GU: A może ma Pan jakieś osiągnięcia na turniejach?

MK: Dla mnie osobiście najważniejszym osiągnięciem to było stanąć na scenie „Battle of the year International” w zeszłym roku w Niemczech. Ta impreza będzie miała w tym roku swoje 20-lecie. Odkąd zobaczyłem pierwszy raz break dance, marzyłem o tym, żeby stanąć na tej scenie. A tak poza tym było kilka pierwszych miejsc na mistrzostwach świata i Europy.

GU: Warsztaty z którymi tancerzami wspomina Pan najlepiej?

MK: Na pewno ostatnie warsztaty z Rox, na których byłem w Warszawie. Powiem tak: człowiek się uczy od każdego człowieka, uczy się całe życie. Właśnie dzięki ostatnim warsztatom z Rox pojawiła się nowa wiedza, umysł otwarty, nowe pomysły wpadają mi do głowy. Rok temu na Wirującej Strefie był Dyzee, Babyfon i Lego. Chyba najbardziej po bały mi się warsztaty z Dyzee’ym. Znów dał mi nowy zastrzyk wiedzy. Ogólnie wielu Bboyi poznałem: Machine, Fokus, każdy coś nowego daje od siebie, jeden od drugiego się uczy.

GU: Kto jest Pana autorytetem w bboyingu?

MK: Hmm... wzorowałem się na wielu ludziach, wielu ludzi mnie inspiruje. Zresztą mnie inspiruje nawet zwykła klamka w oknie, na coś popatrzę i próbuję coś z tego stworzyć. Mój autorytet?

Legendą jest na pewno Storm, o którym było głośno, gdy zaczynałem tańczyć i był naprawdę dobry.

GU: Prowadzi Pan zajęcia z młodzieżą. Jak ocenia Pan warunki pracy?

MK: Jest w porządku. Wiadomo, że to nie jest mój prywatny budynek, więc nie mogę zrobić wielu rzeczy, które chciałbym zrobić prywatnie, zawsze muszę pytać o zgodę dyrektora. Ale generalnie warunki są dobre.

Czasem mam za mało czasu dla siebie. Tak naprawdę instruktor tańca ma strasznie trudną pracę. Wyobrażam sobie, że księgowa czy ekspedientka przychodzi do pracy, robi codziennie coś podobnego przez kilka wyznaczonych godzin. Taki instruktor na dobrą sprawę pracuje 24 godziny na dobę. Nawet śpiąc pracuję, śnią mi się jakieś układy, budzę się rano - nie patrzę w okno oczywiście, bo wtedy się podobno zapomina sny, więc od razu w drugą stronę i -przypominam sobie, co mi się śniło. To dla mnie taka inspiracja. Siedząc w domu o niczym innym nie myślę, tylko o tańcu. Jest jeszcze dużo rzeczy, których nie zrobiłem, a które chciałbym zrobić. Chciałbym przede wszystkim, żeby znaleźli się tacy tancerze w Łomży, którzy naprawdę zafascynowaliby się tańcem, zrobiliby dla niego wszystko, tak jak ja robiłem i robię chyba do dziś. Takich właśnie ludzi nam potrzeba; takich, którzy wybraliby taniec i oddaliby się mu w stu procentach.

Czy wiesz, że...

Bboying miał swój początek w dzielnicy Bronx, w Nowym Jorku. Właściwa forma breaka to zasługa głównie grup Rock Steady Crew i New York City Breakers. Break dance czerpał i czerpie, przekształcając na swoją modłę kroki i figury, z różnych tańców i dyscyplin, np.: capoeira, salsa, akrobatyka i inne.

źródło: www.wikipedia.pl

Czy już boimy się matury?

Pierwotnie tytuł tego artykułu miał brzmieć „Dlaczego warto czytać książki sprzed stu lat?“, ale w momencie jego oddania do druku do egzaminu dojrzałości będzie pozostawać mniej niż 80 dni. To kwestia przytłaczająca i, spójrzmy prawdzie w oczy, nie do końca pozwala nam cieszyć się urokami dziewiętnastowiecznej literatury, a co dopiero przekonywać do nich innych. W tej sytuacji zmuszeni jesteśmy z bólem porzucić kulturotwórczy i misyjny charakter „Głosu Ucznia” (którego to świadomość od początku nam towarzyszyła, gdyby ktokolwiek śmiał w to wątpić) na rzecz tabloidowej sensacji, i zadamy sobie nawzajem – tegorocznym maturzystom – ważne pytanie: Czy już boimy się matury?

Nie można ukrywać, że na grono uczniów naszej szkoły składają się jednostki wybitnie indywidualne, stąd różnorodność punktów widzenia. I tak padały odpowiedzi lakoniczne: „Bardzo”, „Tylko matematyki” oraz „Nie”. Podczas gdy redakcja „Głosu Ucznia” może jedynie podziwiać hart ducha tych ostatnich, do refleksji skłaniają bardziej rozbudowane wypowiedzi.

Nasza redakcyjna koleżanka twierdzi, że „stara się podchodzić na luzie do tego wszystkiego i spokojnie uczy się z tych przedmiotów, z których zdaje egzamin w maju” oraz że „nie ma sensu się zbyt przejmować maturą, jeszcze jest czas na martwienie się tym”. Nie sposób się kłócić z jej racjonalnymi argumentami, ale z jakichś powodów brak w tym numerze artykułu o dziełach dziewiętnastowiecznych

pisarzy, za to jest rozdrapywanie jątrzącej się rany rocznika '91. Wracając jednak do tematu: są też liczne powody do niepokoju o naszych uczniów. Wspominają coś o „rozczarowanych rodzicach” i „zawiedzionych nadziejach”, ale unikają dalszego rozwinięcia tematu. Wielu nieprzytomnym wzrokiem spogląda na zadającego pytanie, po czym odchodzą, mamrocząc coś o olimpiadzie. Pocięszający jest z kolei fakt, że na pytający maturę odnotowali tylko jedną pogrózkę pod adresem szkoły. „Głos Ucznia” nie dysponuje odpowiednimi danymi, ale redakcja jest przekonana, że wbrew ogólnowiatowemu kryzysowi, wśród polskiej młodzieży narastają nastroje pacyfistyczne.

Poza tym, warto przypomnieć o tych kilku jej egzemplarzach, którym matura póki co nie spędza snu z powiek. Mają w perspektywie alternatywę w postaci „zdobywania życiowego doświadczenia na londyńskim zmywaku” oraz zapewniają niemal sentencjonalnie, cytując za Farben Lehre, że „nie matura, a chęć szczerą zrobi z ciebie oficera”, przy czym uczennica Chilińska z klasy IIIC pragnie zadeklarować na łamach tego numeru chęć zasilenia sił zbrojnych RP w razie niepowodzenia podczas egzaminu dojrzałości (choć teraz bez matury pewnie i tam jej nie przyjmą – przyp. red.).

Ostatecznie jednak zastanówmy się nad ostatnią i, kto wie, czy nie najważniejszą kwestią, słusznie podjętą przez jedną z koleżanek – „Ale w co ja się ubiorę?”. Z tą refleksją zostawiamy wiernych czytelników „Głosu Ucznia”, być może dostarczając im materiału do kolejnych płodnych debat na szkolnych korytarzach – i nie tylko.



Kto się nie przewróci, ten się nie nauczy...

CZYLI RELACJA ZE SZKOŁY ZIMOWEJ

Jedną z najmlodszych tradycji naszej szkoły stały się coroczne szkoły zimowe. W tym roku wielu nowych uczniów pierwszy raz uczestniczyło w tej niezwykle przygodzie, co wiązało się z wieloma zabawnymi sytuacjami. Moja klasa, I E wyruszyła na podbój tatrzańskich stoków już 10 stycznia, tuż po przerwie świątecznej. A co się nam przydarzyło? Przeczytajcie relacje samych uczestników na kilku kartkach z kalendarza.



10-17

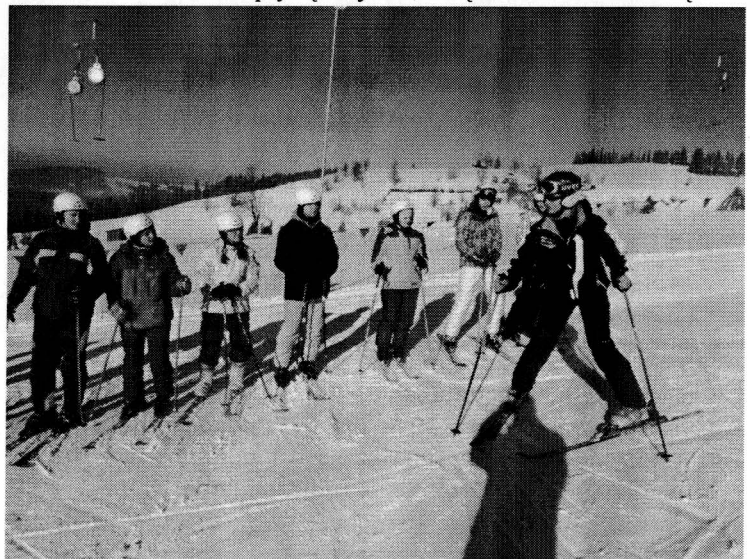
STYCZEŃ 2010

W niedzielny wieczór, przed budynkiem I LO panowała niezwykle poruszenie. Wszędzie słyhać było podniecone głosy pełne radosnej niepewności i oczekiwania na to, co za chwilę miało nastąpić. Szum wzrastał się, gdy kierować swój krok w stronę mającej w oddali grupki młodzieży, która tłumnie zebrała się pod autokarem, by stoczyć prawdziwą bitwę o jak najdogodniejsze miejsca w autokarze. Wypchane po brzegi walizki pokornie leżały na swoich miejscach, jeszcze tylko przynieść kaski, ułożyć sprzęt narciarski i... gotowi? Autokar w jednej chwili wypełnił się po brzegi zaaferowaną zgrają uczniów, wrzawa rosła, przerywana tylko krótkimi ogłoszeniami wychowawcy, aż do momentu uruchomienia pojazdu. Zza szyb widać było oddalające się i machające na pożegnanie sylwetki rodziców, ale nikt z obecnych nie zdawał się ich zauważać, wszyscy byli pochłonięci żywą rozmową, która powoli przeradzała się w jednostajny szmer. Żegnajcie szkolne obowiązki! Wyjeżdżamy na pierwszą dłuższą wycieczkę jako klasa! I E wyrusza

na podbój górskich stoków!

Na miejsce przybyliśmy koło siódmej nad ranem. Zaspiane i nieco zmęczone twarze spoglądały przez okna autokaru, próbując dostrzec podobieństwa miejsca, w którym przyjdzie im spędzić następny tydzień, do tego, które sobie wcześniej wyobrazili. Na progu drewnianego domku powitała nas nasza pani instruktor, która radośnie oznajmiła, że jeszcze dzisiaj po raz pierwszy użyjemy narciarskiego sprzętu.

Rozgoszczenie się w pokojach, krótkie drzemki, posiłek przed pierwszą lekcją, dopasowanie nart – czas upłynął szybko, zmęczenie mieszało się z



rosnącym entuzjazmem – aż w końcu przyszedł na pierwszy kontakt górską rzeczywistością. Ośła Łączka była miejscem naszych poniedziałkowych zmagania – obszernej rozgrywki, ćwiczeń zaznajamiających nas z narciarstwem i nauki upadania. Dla osoby postronnej, nie mającej na nogach nart, musiało to wyglądać naprawdę zabawnie. Wprost uroczy widok: grupa początkujących, którzy w większości przypadków nawet nie musieli imitować upadków, wciąż wpadających na ruchome bądź nieruchome przeszkody, nie wiadomo skąd wyrastające przez nimi... Co pewien czas słychać było krzyki, piski, gromki śmiech garstki uczniów z powodu kolejnego kuriozalnego kontaktu kolegi ze śniegiem lub z własnych dokonań. Gdzieś w oddali instruktor prowadził zajęcia zaawansowanego zespołu. Wciąż słychać było powtarzające się „Kiedy na prawdziwy stok, kiedy!?” – znudzone głosy entuzjastów sportów zimowych były zarówno popierane przez nadgorliwych i spragnionych wrażeń żółtodziobów, jak i przerażały tych, dla których coś, co mogło być wyższe, bardziej strome i bardziej niebezpieczne niż Ośła Łączka było karkołomnym pomysłem. Kilka godzin później, w suchych i ciepłych ubraniach pełni wrażeń i niekiedy obaw związanych z kolejnymi wyprawami, zasiedliśmy do kolacji, po której to solidarnie wywalczyliśmy czas wolny.

Dzień mijał za dniem, nie wiadomo kiedy, stając się rutyną. Wypadki na stoki, wraz ze wzrostem naszych umiejętności coraz poważniejsze, obfitowały w atrakcje i liczne sino-zielone pamiątki,



które początkowo zniechęcały do dalszej pracy. W środku tygodniu mały kryzys sprawił, że pod wpływem jakiegoś straszliwego fatum uczniowie pozapadali w niewyjaśnionych okolicznościach na dziwne choroby – bóle brzucha, mdłości, mi-

greny, bóle w stawach i inne przypadłości uniemożliwiające, mimo najszczerzych chęci poszkodowanych, dalszą naukę. Jednak to nie taka prosta sprawa odpoczywać, gdy inni ciężko pracują. Zwykle uczniowskie dolegliwości kończyły się wraz z przybyciem na stok, a długie godziny szaleństw na trasach zjazdowych i wykorzystane do samego końca karnety mówiły same za siebie.

Kwestią sporną, pewnie poruszaną na każdej szkole zimowej było – jakże niemiłe dla ucha ucznia, który wyjechał ze świadomością odbycia bezstresowego pobytu w górach – słowo: 'lekcje'. „Przecież jesteśmy na wycieczce!”, „To nie fair!”, „Inne klasy na pewno nie będą miały lekcji!”, „Jesteśmy zmęczeni...”, „X boli noga” – w myśl zasady: każdy argument jest dobry, klasa jednomyślnie przedstawiała swoje racje. O tyle negocjacje okazały się sukcesem, o ile ilość godzin, które niewielki procent z nas przespała na zeszytach i podręcznikach, została zredukowana do połowy. no i jeszcze ta praca domowa... Pomruk niezadowolenia przesunął się po klasie z każdym kolejnym zadaniem ćwiczeniem i kartą pracy. Jednak sumienność i obowiązkowość nie pozwala większości nie wywiązywać się z nałożonych na nich obowiązków, toteż zgodnie uczestniczyliśmy w, zorganizowanej przez nas samej, integracji poprzez wspólną naukę, która trwała od późnych godzin nocnych niezmiennie każdego dnia, czego efekty było widać w rannych pobudkach i entuzjazmie, który odbijał się na twarzach uczniów człapiących w stronę stołówki. Jednak dumą z chytrego połączenia przyjemności z obowiązkiem wydawała się znacznie bardziej motywująca niż dotychczasowe metody uczenia się - czas, który przyszło nam spędzić w ośrodku, wykorzystywaliśmy co do minuty, świetnie się bawiąc i uwieczniając wszystkie wydarzenia na zdjęciach.

Nadszedł czas powrotu. Z żalem opuszczaliśmy poznane niedawno miejsce, wpakowując swoje bagaże do autokaru. Nowa grupa już przyjechała – znajome uczucie niepewności i jednocześnie podniecenia na nowo wypełniło korytarz ośrodka. W drodze powrotnej dało o sobie znać rozluźnienie i lekkie zmęczenie po bardzo aktywnym wypoczynku w tej urokliwej

miejscowości. Po zacieklej bojach i ujarzmieniu niesfornych nart żywe rozmowy przyszłych profesjonalistów stopniowo ucichły. Wielu z nas, z głowami pełnymi wrażeń patrzyła na zaśnie-

żone drogi i mijające nas samochody, stopniowo pogrążając się w spokojnym śnie... Zadanie wykonane! Klasa I E spisała się wspaniale!

J. T.

11 STYCZEŃ 2010

Każdy z nas z niecierpliwością wyczekiwał wyjazdu na szkołę zimową. Kiedy wreszcie nadszedł ten radosny czas, wszyscy promieniowali entuzjazmem, nieświadomi bolesnej prawdy, że jazda na nartach to niezła szkoła życia.

Wraz z przekroczeniem z nartami na plecach progu góralskiej chatki pani Danusi, poczuliśmy ogarniającą nas senność. Jednak instruktorzy byli innego zdania co do stanu naszego ducha, co okazali szybko i brutalnie, wyganając nas na stok. W tym momencie cała na-

sza nadzieja prysła. Po ciężkim treningu wytrzymałości z dwoma sztywnymi belkami przywiązanymi do stóp, nastąpiło cudowne ukojenie w postaci lekcji historii i angielskiego. Pocieszeni tym szczęśliwym biegiem zdarzeń, wprost umieraliśmy na naszych wygodnych posłaniach.

Koniec końców, każdy z nas przekonał się o prawdziwości zestawienia „zmęczeni i szczęśliwi”, bo tak właśnie było. Mamy nadzieję wrócić tam za rok.

Justyna Załuska

14

STYCZEŃ 2010

Zdarzyło się śmiesznie... Podeksycytowana ruszyłam w kolejkę do wyciągu. Po upływie kilku minut, wraz ze wspaniałymi koleżankami dostałam się do bramek, które pozwalają na z reguły bezpieczne dotarcie na stok, by następnie z wiatrem we włosach i uśmiechem na twarzy sunąć na nartach w dół. A więc już przechodzę przez bramkę. Ostro nami machnęło. BUM! Poślizg i w ułamku sekundy znajduję się na kolanach Olgi. Krzeselko naturalnie pędzi w górę, pan obsługujący wyciąg krzyczy, by mnie trzymać i zamknąć zabezpieczenie. ALE NIE! Moja głowa okuta w nowiuški, bielusieńki szkolny kask nie pozwala na to. Podobno coś krzyczałam. Dziewczyny po spostrzeżeniu, że lepszego wyjścia nie ma, puszczają mnie. SPADAM! ALE LE-

CIAŁAM! Gdzieś za mną jakiś młody góral krzyczy, bym się kładła. Niestety w obecnej chwili za dużo do mnie nie docierało. Podbiega. Buch! Walnął mnie w głowę! Leżę. Patrzę, a 20 cm nad mą głowę przejeżdża sobie krzeselko. Za moimi plecami słyszę głosy ukochanych kolegów z klasy, którzy bili brawo i z radością ogłaszały wszem i wobec: „Nasi tu byli”. Znowu podbiega do mnie góral. Podnosi mnie. Staje obok bramek i pyta: „Jaką karę wybierasz?”. Zajmująca konwersacja została w końcu przerwana, gdy kazał mi znowu wskakiwać na taśmę. No więc HOP! Buch! Znowu leżę.. Oglądam się, czy nie wjeżdża na mnie krzeselko, ale zamiast tego widzę faceta, który zgięty wpół i nie mogący złapać oddechu oznajmia: „Hardcore dnia!”, wywołując tym samym śmiech u kilkuset stojących w kolejce ludzi.

Kinga Brutkowska

Szkoła zimowa to wspaniała przygoda, która na długo pozostanie w naszej pamięci. Mimo zmęczenia, prac domowych i wspomnianych już sińców wyjazd możemy wpisać na listę tych udanych i niezapomnianych. Myślę, że taka wycieczka w niezwykły sposób integruje klasę, nie tylko w protestach przeciw odbywającym się na zimowej szkole lekcjom. Stoki w Małym Cichym opuszczaliśmy ze smutkiem, z powodu tak szybko upływającego czasu i - nie ukrywając - zazdrościmy kolegom z innych klas, którzy tę przygodę mają jeszcze przed sobą.

Karolina Góralczyk, kl. I E

Dzieciństwo jakiego nie znacie

wywiad z Sybiraczką Janiną Góralczyk

Wielu ludziom wydaje się, że obecnie wiemy już wszystko na temat II wojny światowej. Znamy postawy heroiczych przywódców, ważne daty i miejsca bitew. Jednak ludzie, którzy przeżyli wojnę, bardzo często dopiero teraz są gotowi głosić o niej prawdę, dopiero teraz czują się w pełni bezpieczni i wierzą, że za tę prawdę nie będą ukarani. Bohaterka mojego wywiadu od początku była odważna i czuła się wręcz zobowiązana do opowiadania swojej historii. Wielokrotnie mówiła o niej swoim dzieciom, później wnukom i znajomym. Dziś usłyszycie ją także i wy, czytelnicy naszej szkolnej gazetki.

Jako dziewięcioletnia dziewczynka została wywieziona na Syberię. Najpiękniejsze lata swojego dzieciństwa spędziła przy katorżniczej pracy w okropnych warunkach, pod ciągłym ostrzałem Rosjan. Jest jednym z wielu Sybiraków, którzy przeżyli wywózkę. Skromna mieszkanka pobliskiego Kołna, moja babcia- Janina Góralczyk.

Karolina Góralczyk: Babcu, obecnie młodzież nie interesuje się dziejami naszej ojczyzny. Podręczniki historii wydają się nam nudnymi wielostronicowymi cegłami, a wycieczkowi przewodnicy flegmatycznie i rutynowo opowiadają nam historie wydające się zupełną abstrakcją. Twoje pokolenie przeżyło wojnę, doświadczyło walki z bronią, cierpienia, głodu, Ty zostałaś wywieziona na Syberię. Spróbuj nam o tym opowiedzieć.

Janina Góralczyk: Tak, to prawda. Czasy się zmieniły, teraz już nikt nie pamięta o wojnie, a tym bardziej o ideałach, jakie w ówczesnym czasie każdy Polak wyznawał. Wywózka na Syberię, jaką przeżyłam, była największą gehenną w moim życiu. Mieszkałam wtedy z rodzicami i bratem we wsi Kulpiski Stare.

K.G.: Z wcześniej już wspomnianych lekcji historii wiem, że operacji deportacyjnych od 1940 do 1941 roku było kilka. Czy pamiętasz dokładnie ten dzień wywózki?





J.G.: Było to zimą 10 lutego 1940 roku. Pamiętam, że jak jeszcze spaliśmy, ktoś mocno załomotał w drzwi. Moja mama zobaczyła przez okno, że dom jest otoczony przez sowieckie wojsko, a pod drzwiami stoi dwóch

uzbrojonych żołnierzy NKWD. Wtargnęli oni do domu i kazali całej rodzinie klęczeć, a jeden z uzbrojonych żołnierzy pilnował nas.

K.G.: A reszta żołnierzy?

J.G.: Pozostali przeprowadzali rewizję w całym domu, nawet na strychu. Mówili, że szukają broni. Potem dowiedzieliśmy się, że to był tylko taki pretekst powtarzany w każdym domu. Żołnierze zachowywali się brutalnie. Łamali i deptali portrety, obrazy, książki, niszczyli wszystko, co wpadło im w ręce. Potem kazali nam ciepło się ubrać, wziąć ze sobą poduszki, pierzyny, koce i nic więcej. Powiedzieli, że cały nasz majątek, rzeczy i zwierzęta sami przywiozą. Tylko jeden żołnierz po cichu powiedział mojej mamie, by pakowała wszystko co ma, bo tam nic nie będzie.

K.G.: Jak dalej wyglądała wasza droga?

J.G.: Później załadowali całą naszą rodzinę w sanie i naszymi końmi odwieźli na stację kolejową do Łomży. Tam stały przygotowane brudne ciemne wagony towarowe.

K.G.: Babciu powiedz, ile trwała i jak przebiegała wasza podróż?

J.G.: Droga trwała około czterech tygodni. W moim wagonie było około 40 osób, w każdym piętrowe prycze, piecyk, w którym nie było czym palić i otwór z zamontowaną rurą, który służył do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Na łóżkach ulokowano po dwie, trzy rodziny, sprawdzono listę obecności i ruszyliśmy w drogę. Nikt nie wiedział, dokąd nas wiozą. Każdego dnia żołnierze otwierali wagon, sprawdzali listę obecności i znowu wagon plombowali. Któregoś dnia tej podróży przekroczyliśmy granicę naszej ojczyzny, wtedy podniósł się wielki krzyk i szloch. Domyślaliśmy się, że jedziemy na Syberię na stracenie.

K.G.: Byliście więzieni w wagonach towarowych czyli takich, jak dla bydła. Co najbardziej wam dokuczało?

J.G.: W drodze ciągle towarzyszył nam głód i zimno. Wagony były nieogrzewane, odchody ludzkie zamarały w rurze, smród wdzierał się do wnętrza. Spaliśmy w ubraniach i nakryciach głowy pod pierzynami i kocami. Budziliśmy się w oblodzonej pościeli, obsypani śniegiem, gdyż okna i ściany były nieszczelne. Już wtedy zaczęły się ciężkie choroby, z wagonów słychać było jęki i płacz dzieci. Ludzie umierali z głodu i wycieńczenia. Zwłoki wyrzucane były w zaspy śnieżne. To był koszmar ponad ludzkie siły.

K.G.: Co stało się po podróży?

J.G.: Dotarliśmy do miasta Archangielsk i stamtąd ciężarówkami przewieziono nas do miejscowości Nadom. To było miejsce odcięte od świata. Czekają tam na nas nieduże sanki, zaprzężone w syberyjskie kucyki, ale jechali nimi tylko starszki i dzieci. Mnie jako dziewięciolatkę zaliczono już do dorosłych. Maszerowaliśmy przez tajgę, brodząc w półtorametrowym śniegu. Temperatura wynosiła

wtedy około -40°C , -50°C . W czasie tej drogi upadłam ze zmęczenia, dopiero wtedy posadzono mnie na sanie. Miałam odmrożone nogi i ręce. W lasach czekały na nas baraki wybudowane z drewnianych bali w odległości 10, 15, 30 kilometrów. Przez szpary między balami wpadał śnieg. W każdym baraku w kącie stał jeden gliniany piec, który i tak nie ogrzewał całego pomieszczenia. Mnie i moją rodzinę zakwaterowano w baraku o nazwie „Kudryna”.

K.G.: Czym zajmowaliście się na co dzień?

J.G.: Dorośli i dzieci zmuszani byli do katorżniczej pracy w tajdze. Moi rodzice pracowali przy wycince drzew i przeróbce ich na bale. Ja wraz z innymi dziećmi zbierałam obcięte gałęzie i paliłam je. Cały czas lufy żołnierskich karabinów były w nas wycelowane, ponaglano nas, popychano i zastraszano. Wracaliśmy z pracy w mokrych ubraniach, których nie mieliśmy gdzie suszyć, więc rano znów nakładaliśmy mokre. Później dostaliśmy tzw. kufajki, watowane spodnie, czapki i łapcie plecione z łyka drewna. Ta praca spowodowała, że zachorowałam na nerki. Przywieziono mnie do zimnego baraku z 40° gorączką. Mój stan był bardzo ciężki. Rodziców i brata ogarnęła rozpacz.

K.G.: Jak radziliście sobie w takiej chwili? Nie mieliście chyba żadnego dostępu do pomocy medycznej?

J.G.: Nie, w żadnym wypadku. Nie mieliśmy nawet leków. Jedynym moim lekarzem były modlitwa rodziców, Pan Bóg i babcia, która sporządzała różne nalewki z igieł świerków czy soków spuszcanych z brzozy. Powoli dochodziłam do zdrowia, chociaż codziennie towarzyszyło mi uczucie głodu. Dzienna norma jedzenia, którą otrzymywaliśmy na jedną osobę, to 200 g chleba i garnuszek wody ugotowanej z kiszonymi liśćmi kapusty. Smak tej „zupy” pamiętam do dziś.

K.G.: Wróćmy jeszcze do pracy. Powiedz, czym zajmowaliście się latem?

J.G.: Latem moja praca i innych dzieci polegała na zbieraniu jagód i grzybów. Mieliśmy wyznaczone normy. Jeżeli wykonało się normę, tzn. zdało się do spółdzielni wyznaczone kilogramy, pozostałą część można było wziąć dla siebie. Jednak norma była tak duża, że dziecko nie mogło zebrać więcej. Wychodząc na zbieranie jagód czy grzybów okręcaliśmy ręce, nogi i głowę szmatami. Okryte były oczy i palce u rąk, ponieważ potwornie dokuczały nam komary i maleńkie muszki. Zbieraliśmy w ciągłym strachu, ponieważ łatwo można było zablądzić w gąszczu lasu, a także spotkać niedźwiedzia, których było tam wiele.

K.G.: Co robili w tym czasie dorośli?

J.G.: Rodzice w lecie pracowali przy splawie drzewa. Trwał on 2-3 tygodnie. Zostawialiśmy z bratem sami, kiedy dokuczał nam straszliwy głód gotowaliśmy „zupę”, czyli wodę z listkami zajęczego szczawiu lub jakimś grzybem.

K.G.: W takich warunkach pewnie często chorowaliście?

J.G.: Tak, ludzie masowo umierali. Panowały ciężkie choroby: malaria, kurza ślepotą, szkorbut, tyfus. Nas również nie ominęły. Ja chorowałam na malarię, a później na szkorbut, brat na kurzą ślepotę, tata ledwie przeżył chorobę nerek. Mama miała na ciele nieogojące się wrzody. To było straszne.

K.G.: Kolejną zimę również spędziliście na Syberii?

J.G.: Tak, wtedy brata i mnie zabrano siłą od rodziców. Umieszczono nas w ochronce około 20 km od nich. Tam ścięto nam włosy do gołej skóry. Starsze dzieci mogły odwiedzać rodziców raz w miesiącu. Chodziły do nich na piechotę. Młodszym zabraniano. Obawiano się, że pomarzną w czasie drogi.

K.G.: Babcu, powiedz, co tam robiliście?

J.G.: W ochronce od pierwszego dnia uczono nas po rosyjsku i nie pozwalano mówić po polsku. Trzeba było szybko przyswajać język rosyjski. Kategorycznie zabraniano modlić się. W sali umieszczano dwie Ukrainki, które donosiły o wszystkim, szczególnie o tym, kto się modli i w jaki sposób. Zaczęliśmy się modlić leżąc. Zorientowały się, bo słychać było szept. Oskarżyły nas, byłyśmy karane między innymi głodówką, spotykało mnie to bardzo często. Pamiętam, że ciągle wpajano nam, że nie ma Pana Boga, że Bogiem jest Stalin. Zrobili nas pionierami, założyli czerwone gałstuki (chusty). Musieliśmy je nosić od rana do wieczora. Pod przymusem składaliśmy przysięgę pionierską. Cel, jaki sobie

postawiono, to zrusyfikować polskie dzieci, wychować nas na komunistów. Było to dla mnie ciężkie przeżycie, pomimo, że byłam dzieckiem. Ogromnie tęskniłam do rodziców, wciąż płakałam w ukryciu, ponieważ płacz podobnie jak modlitwa był zabroniony.

K.G.: Coś zmieniło się po porozumieniu Sikorski - Stalin?

J.G.: Tak w 1943r. dostaliśmy przepustki i pozwolono polskim zesłańcom przesiedlać się z głąb Związku Radzieckiego. Ja, moja rodzina i inne zostaliśmy przewiezieni do sowchozu „Uljanowska obłoc Mielikiewskij rejon”. Tu też nie było lekko. Dokwaterowano nas do trzyosobowej rosyjskiej rodziny. Wszystkich razem było nas siedem osób. Mieszkaliśmy w chatce, która miała tylko jedno pomieszczenie. Piec służył do ogrzewania i gotowania posiłków. Mrozy -30° -40° , kilkumetrowe zasy śnieżne, zasypane śniegiem chatki. Zdarzyło się, że śniegu było tak dużo, że nie można było otworzyć drzwi. Gdy mróz był bardzo duży, gospodyni przyprowadziła do chatki owce i małego cielaczka. I tak mieszkaliśmy w jednym pomieszczeniu razem ze zwierzętami, ciągle towarzyszył nam bród i smród. Najważniejsze było jednak to, że mieliśmy pod dostatkiem zamrożonych ziemniaków. Z nich mama gotowała kluski, piekła placki. W lecie przysmakiem były pisklęta wron. To ja wspinałam się po nie na wysokie drzewa. Docierałam do wronich gniazd i wybierałam młode. Na szczęście po kilku miesiącach dostaliśmy kartki na chleb.

K.G.: Tu także pracowaliście?

J.G.: Tak, rodzice pracowali w polu, a ja na stołówce obierałam ziemniaki. Codziennie starałam się ukraść kilka kartofelków, które potem jedliśmy na obiad lub na kolację. Życie zmuszało mnie do kradzieży, chociaż bardzo się tego bałam. Mnie jako dziecku było łatwiej, bo nie byliśmy tak pilnowani, jak dorośli. Gdyby na kradzieży przyłapano rodziców, skończyłoby się to dla nich więzieniem. Można było tam też trafić przez niestawienie się do pracy. Tak więc jako 12-letnie dziecko „pomagałam” w zdobywaniu żywności. Oprócz ziemniaków, ze stołówki często udawało mi się ukraść w sowchozie ziarno pszenicy, prosa czy żyta. To były cenne zdobycze. Miałam też sposób na zdobycie ziemniaków, gdy musiałam pracować przy wykopkach. Brałam wtedy ze sobą torbę i kiedy nikt nie patrzył, wrzucałam do niej ziemniaki. Potem torbę chowałam w wysokie chwasty i zaznaczałam to miejsce. Wieczorem w strachu biegłam na pole i przynosiłam torbę do domu. W ten sposób robiłam nawet zapasy na zimę.



K.G.: Babciu powiedz, kiedy dowiedzieliście się, że jesteście wolni?

J.G.: To było wiosną 1946 roku czas wielkiej odmiany, szczęścia niepowtarzalnej radości. Pamiętam te uczucia, choć nie pamiętam dokładnej daty, kiedy oznajmiono nam, że jesteśmy wolni. Nie mogliśmy uwierzyć w ten cud. Wszyscy płakali, ściskali się z radości. Wznosili okrzyki: „wracamy do naszej utęsknionej, kochanej ojczyzny, do Polski”.

K.G.: Jak wyglądał wasz powrót?

J.G.: Znowu jak 6 lat temu jechaliśmy w wagonach towarowych, ale w dobrych warunkach. 12 kwietnia 1946 roku wczesnym rankiem pociąg zatrzymał się na stacji kolejowej w Łomży. Był to piątek - dzień targowy, dlatego w mieście było dużo ludzi, a wśród nich nasi znajomi i rodzina. Wszyscy witali nas z wielką radością, były łzy szczęścia, ale też rozpacz, bo przecież nie wszyscy wrócili. My byliśmy szczęściarzami, którzy wymodlili powrót i po 6 latach i 4 miesiącach znowu stanęli na ojczyźnie.

K.G.: Jak wyglądało wasze życie po powrocie?

J.G.: Byliśmy wynędzniali, wychudzeni. Ja miałam twarz pokrytą liszajami. Wstydziłam się spotkania z koleżankami. Już na stacji kolejowej dowiedzieliśmy się, że naszego gospodarstwa właściwie nie ma. Wszystkie zabudowania są spalone, a ziemia od 6 lat nie uprawiana, porosła chwastami. I tak z nędzy wróciliśmy do nędzy. Nie mieliśmy gdzie mieszkać, nie mieliśmy co jeść, ale to było nieważne. Najważniejsze było to, że cała nasza rodzina wróciła, że Bóg wysłuchał naszych próśb i nie zostawił nas na tej strasznej ziemi, która odebrała zdrowie mnie i mojej rodzinie.

K.G.: Babciu, tuż po powrocie z Syberii jak i w późniejszym czasie, niektórzy Sybiracy nigdy nie opowiadali o tym, co przeżyli. Jak było w Twoim przypadku?

J.G.: Swoją historię opowiadałam swoim dzieciom, i dobrym znajomym, teraz opowiadam ją również tobie. Jednak po powrocie nigdy nie pozwolono mi o tym pisać w życiorysie. W urzędach mówiono, że pojechaliśmy tam z własnej woli. Koleżanki z pracy wiedziały, że byłam wywieziona, jednak nie opowiadałam im wszystkiego, nie ze strachu przed ewentualnymi konsekwencjami, ale dlatego, iż była to tak straszna historia, że one nigdy by mi w to nie uwierzyły, bo w ówczesnym czasie historie Sybiraków i zdarzeń, jakie tam zachodziły, były zakłamywane przez władze i nieznane wśród Polaków, jeśli nie dotyczyły ich bliskich.

K.G.: Babciu, bardzo dziękuję za wywiad. Wiem, że całej Twojej historii nie da się opowiedzieć w czasie jednego krótkiego spotkania.

J.G.: Ja, również bardzo dziękuję.



historię usłyszeć.

Uważam, że nasze pokolenie ma wielkie szczęście i szansę, ponieważ możemy poznać prawdę o dziejach naszej ojczyzny. Od nas już tylko zależy, czy tę szansę dobrze wykorzystamy.

Nadzieja, że ta i inne historie tamtego okresu przetrwają, jest w nas, młodych ludziach. Klasa IIc już zrobiła pierwszy krok, by ocalić ją od zapomnienia. We wrześniu bieżącego roku uczniowie uczestniczyli w IX Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru w Białymstoku. Rozpoczął się on pod Pomnikiem Katyńskim w Parku Zwierzynieckim, a zakończył pod Grobem Nieznanego Sybiraka. Wszyscy uczestnicy zgodnie twierdzili, iż taki marsz jest bardzo dobrą formą upamiętnienia tamtych wydarzeń, ponieważ by mówić o historii, nie potrzeba wielkich pikiet czy kolorowych reklam, ale ciszy, by móc tę

Karolina Góralczyk, kl. IE

Wspomnienia...

„Wspomnienie jest formą spotkania.”

Khalil Gibran

My, biorąc sobie do serca słowa Khalila Gibrana, chcemy Wam przypomnieć wydarzenia minionego roku, które najbardziej zapadły nam w pamięci. Chcemy podzielić się z Wami naszą radością wspominając otrzęsiny klas I i naszą zadumą związaną z dniem 11 listopada.

Kto ma dziennik - ten ma władzę

Taki tytuł nosiło otrzęsinowe przedstawienie wystawione 2 października. Jak w I LO wita się pierwszoklasistów? No cóż, przecież w szkole najważniejsza jest ... dobra zabawa! Uczniowie z klasy III C przygotowali, nie da się ukryć, fantastyczne show.

Stworzenie tego widowiska wymagało jednak dużego nakładu pracy. Starsi koledzy, nie chcąc przestraszyć nowych uczniów pokazali im, jak wyglądała szkoła za czasów młodości ich nauczycieli, gdy ci musieli godzinami ślęczeć nad książkami i nie zdawali sobie sprawy, że kiedyś znajdą się „po drugiej stronie barykady”. Założono, że ich „nauka” wyglądała zupełnie inaczej, „bo w tej klasie niekończący się bal trwał”. Trzecioklasiści przygotowali pokaz w stylu lat 70-tych. Widzowie mogli zatem podziwiać poza stylowymi strojami i fryzurami - muzykę z tamtych lat, wspaniałą chore-

ografię i talent wokalny młodych aktorów.

Oto porywająca fabuła: szkolny idol, Ciacho, to opiekun dziennika. Ze względu na sprawowaną funkcję nie może narzekać na brak powodzenia. Życie w szkole to dla uczniów istna sielanka: próbują przechytrzyć swoich belfrów, by nie pisać kartkówki, uniknąć odpowiedzi ustnej, walczą o swoje prawa u kuratora oświaty. Wkrótce jednak dochodzi w szkole do serii dziwnych wydarzeń: znika dziennik, w pracowni biologicznej zostają otrute rybki, w matematycznej - połamane



kątomierze, ktoś porywa pana dyrektora. Prerażeni uczniowie posądzają o te wszystkie czyny Ciacho. Dochodzą jednak do wniosku, że musi za tym stać ktoś inny i postanawiają pomóc swojemu koledze w znalezieniu winnego. Z pomocą przybywa drużyna Scooby`ego. Do udziału w śledztwie wciąga pierwszaków...

Zwycięzca każdego rozwiązanego zadania otrzymywał podpowiedź, gdzie jest złoczyńca, zaś pokonani uczestnicy poszczególnych konkurencji byli za karę zamykani w klatce. (Klatka jest dotąd do wykorzystania, stoi na strychu). Pierwsza konkurencja polegała na „wcinaniu” palczkami makaronu przygotowanego przez Chinę. W tym czasie utalentowani plastycznie uczniowie zajęli się lepieniem z plasteliny podobizn swoich wychowawców. Bajkowa drużyna poprosiła także kilku śmiałków o pokonanie toru przeszkód w stroju Pianka. Zadanie było niezwykle trudne, jednak nowi uczniowie „Bernata” poradzi-li sobie doskonale. Podczas karaoke pierwszaczki kazały się talentem muzycznym i oby-ciem ze sceną. Okazało się, że to nie jedy-na ich zdolność - nie sprawiło im proble-mu porozumienie się klasą bez pomocy słów. Kolejne zadanie polegało na rozpo-znaniu wychowawcy na jego zdjęciu z dzieciństwa. Potem jeszcze trzeba było

nakarmić „związanych” kolegów kisiel-kiem, ale... z zamkniętymi oczami.

Nowi uczniowie byli dzielni i sprawni - okazali się dobrze przygotowa-nymi do nauki w murach naszego liceum. Zwycięzca jednak mógł być tylko jeden. Klasa IF bez problemu znalazła odpo-wiedź, gdzie szukać groźnego przestępcy. Tym miejscem była kanciapa pana Wiesia. Uradowany Scooby ruszył tam wraz z przyjaciółmi. Na miejscu znaleźli złoczyń-cę i rozpoczął się pościg. Skończył się suk-cesem - została złapana ukrywająca się pod maską i przez to do złudzenia podob-na do pana Wiesia, zazdrosna o pozycję Ciacha uczennica Kasia. Ciacho i jego ko-leżanki mogli podziękować detektywom

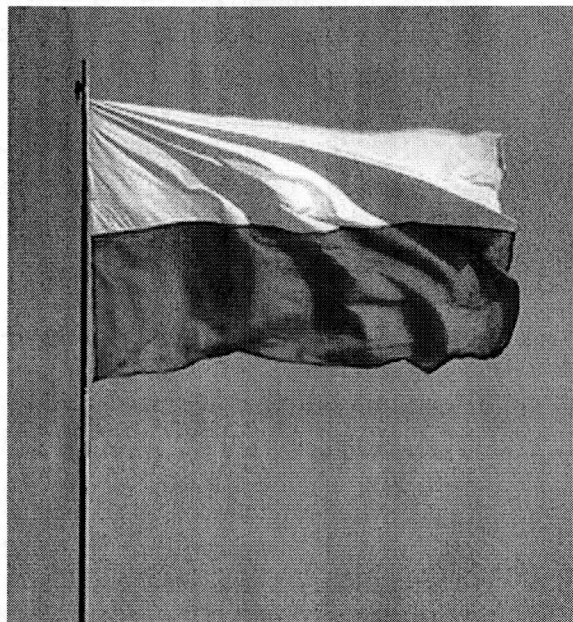


za pomoc. Sprawa pierwszaków także została rozwiązana: złożyli oni przyrzeczenie, niezbędne do utrzymania w szkole określonego porządku.

Na zakończenie aktorzy zatańczyli. Jak widać, każda historia może skończyć się happy endem.

O dniu, który powinien być radosny

Dostaję zlecenie napisania artykułu o 11 listopada... Pierwsze moje skojarzenie - wolne, nie idziemy do szkoły, drugie - jakaś smutna uroczystość, do uczestnictwa w której zmusi Nas szkoła, trzeciorocznica odzyskania niepodległości. Właśnie... Tej utęsknionej, wolnej Ojczyzny, której tak długo, bo przecież całe 123 lata nie posiadaliśmy. Dlaczego więc wszystko, co się wiąże z odchodami uroczystości pamiątkowych, zachowane jest w tonie prawie żałobnym? Rozumiem, powaga, wysoki ton, zaduma, jednak chyba nie tędy droga. Może gdyby od małego przyzwyczajano Nas do radości, pikników albo masowych imprez organizowanych przez miasta, mielibyśmy większą świadomość, dlaczego ten dzień jest taki istotny. Zarzucisz mi z pewnością, że jestem za komercjalizacją tego święta. Pewnie będziesz mieć trochę racji. Jednak należy rozważyć wszystkie plusy i minusy. Obawiam się, że niedługo jedynymi uczestnikami odchodów 11 listopada będą nieliczni już weterani wojenni, mały odsetek zapalonych patriotów, kilku gapiów, będących tam całkiem przypadkiem, resztki klasy, z której większość uciekła do domu. Taka jest brutalna prawda. Jesteśmy zbyt rozpieszczeni telewizją, internetem, a może po prostu stylem życia, które prowadzimy, że z góry odrzucamy to, co nudne i mało atrakcyjne dla naszych zmysłów. Nie myśl sobie, że jestem zdania, że jedynym, co człowieka może zachęcić, jest kielbaska i piwo, o nie. Jednak mam świadomość, że większość Polaków ochoczo zadeklaruje chęć pograżenia się w zadumie nad sensem walki o wolną Ojczyznę... jednak najlepiej we własnym fotelu, przed telewizorem, pijąc malinową herbatkę i skacząc po kanałach, bo transmisja z Placu Defilad



zbyt długa, żeby obejrzeć w całości. Czy zostanę pociągnięta do odpowiedzialności, jeśli przyznam się, że też jestem w tej grupie?

Marzy mi się Dzień Radości. Warsztaty zajęciowe, najlepiej interaktywne, które przyciągną moją uwagę, filmy i prezentacje, które opowiedzą, jak to naprawdę było i nareszcie obchody, które zachowają charakter czci i szacunku, i nie będą areną rozgrywek politycznych. Wszystko brzmi pięknie i zdecydowanie pokiwasz głową, że tak, tak być powinno. Pomysł jest, trudniej z realizacją.... Gdyby jednak odważyć się, zorganizować w osiedlowych ośrodkach kultury, szkołach warsztaty dla dzieci i dorosłych, które podawałyby przystępną wiedzę? Można lepić gliniane garnki i słuchać pieśni patriotycznych, i nie ma w tym nic złego, jeśli jest się zaangażowanym. Największy potencjał to dzieci i młodzież, które niezwykle ciężko czymś zainteresować, jednak jeśli się to uda, zawsze są efekty. Może znajdzie się ktoś odważny, kto w przyszłym roku zaprosi nas 11 listopada do gmachu szkoły, nauczy kilku narodowych

tańców, zaprosi do wspólnego pieczenia ciasta... i w miłej, przytulnej atmosferze opowie historię miłości, która nie doczekała się Wolnej Polski.

Może zarzucisz mi znowu, że to nie wypada, taki wielki dzień. Jednak przyznaj się szczerze, czy Ty też nie masz

czasem wrażenia, że tradycyjne obchody są ofiarą przerostu formy nad treścią?

Aga F.

Święta, święta...

22 grudnia odbył się w naszej szkole koncert wigilijny, zorganizowany przez panią Katarzynę Lipską i pana Krzysztofa Lipskiego. Mieliliśmy wówczas okazję wysłuchać krótkich, mówiących o Świętach Bożego Narodzenia tekstów, które w ustach

niego należą, postanowiłam więc zasugerować się opiniami nauczycieli i znajomych. Każda z osób zapytanych przeze mnie odpowiadała (mam nadzieję, że nie przez grzeczność), że wypadł znakomicie, tego więc będę się trzymać. W tym miejscu



naszych kolegów z aktorskimi uzdolnieniami stawały się przejmujące, trafiały prosto do serca. Uczniowie uzdolnieni muzycznie uświetnili koncert grą na pianinie i skrzypcach. W świąteczny nastrój wprowadziły nas także kolędy w wykonaniu chóru szkolnego. Był to jego premierowy występ z tak szerokim repertuarem utworów przed publicznością złożoną z Rady Pedagogicznej i uczniów naszej szkoły.

Moja ocena jakości wystąpienia chóru mogłaby być nieobiektywna, jako że do

należałoby zaznaczyć, że chór powstał we wrześniu tego roku, prowadzony jest przez pana Krzysztofa Lipskiego, dzieli

się na 3 (sporadycznie 4) głosy i składa z uczniów zarówno liceum jak i gimnazjum. W tym roku Koncert Wigilijny i klasowe spotkania opłatkowe odbyły się w czasie lekcji, co jest nowością w naszej szkole. Zdania na temat takiej organizacji są podzielone – dla jej zwolenników głównym dobrem jest brak lekcji ale też większa frekwencja uczniów. Przeciwnicy uważają natomiast, że Wigilia potrzebuje nastroju, chociażby ciemności za oknem.

Podczas spotkań klasowych po tradycyjnym podzieleniu się opłatkiem i złożeniu życzeń w większości klas uczniowie wymienili się drobnymi upominkami. Zjadłszy „wigilijne potrawy”, takie jak ciasta,

owoce czy pizza, wszyscy w doskonałych nastrojach, z perspektywą wolnych dni, rozeszli się do domów.

Katarzyna Ramotowska, Ia

Humor według Henryka Sawki



GŁOS UCZNIĄ

NIEREGULARNIK UCZNIOWSKI



Zespół: Justyna Jakacka,
Milena Mocarska,
Karolina Góralczyk,
Piotr Zabielski
Opiekun: p. prof. Anna Bućko
Kontakt:
glosucznia.1lo@gmail.com

Zostań dziennikarzem
szkolnej gazetki

„GŁOS UCZNIĄ”

Lubisz pisać o otaczającym Cię świecie?

Piszesz wiersze?

Lubisz fotografować?

Posiadasz ciekawe zainteresowania?

Jeśli tak to czekamy właśnie na Ciebie!

BLIŻSZYCH INFORMACJI UDZIELA

KAROLINA GÓRALCZYK Z KLASY I E

LUB OPIEKUN GAZETKI PANI PROF. ANNA BUĆKO.